



DZIEWCZYNA
WE
MGLE

DONATO CARRISI

FILM W KINACH

23 lutego

Sześćdziesiąt dwa dni po zaginięciu

Noc, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze, rozpoczęła się od dzwonka telefonu.

Odezwał się o dwudziestej drugiej dwadzieścia. Był poniedziałkowy wieczór, temperatura na dworze spadła do ośmiu stopni poniżej zera i wszystko otulała lodowata mgła. O tej godzinie Flores leżał już obok żony w ciepłym łóżku, oglądając w telewizji stary czarno-biały film gangsterski. Sophia zasnęła jakiś czas temu i nie wydawało się, żeby dzwonek zakłócił jej sen. Nie zauważyła nawet, że mąż wstaje i ubiera się.

Flores wciągnął ocieplane spodnie, golf i ciepłą kurtkę, żeby zabezpieczyć się przed przekłętą mgłą, która zdawała się pochłaniać wszystko co żywe, po czym wyszedł z mieszkania, by się udać do małego szpitala w Avechot, gdzie od dobrych czterdziestu ze swoich sześćdziesięciu dwóch lat pracował jako psychiatra. W ciągu wszystkich tych lat zdarzyło się zaledwie kilka razy, żeby ktoś, a zwłaszcza policja, wyrwał go z łóżka w jakiejś pilnej sprawie. W alpejskim miasteczku, w którym przyszedł na świat i spędził całe życie, po zachodzie słońca nie działo się prawie nic. Wyglądało na to, że na tej

wysokości również przestępcy narzucają sobie rygory przyzwoitego trybu życia, które nakazują regularne wieczorne powroty do domu. Dlatego Flores zadał sobie pytanie o powód, dla którego konieczna była jego obecność o tak niezwyklej godzinie.

Policja jedynie poinformowała go przez telefon, że chodzi o człowieka zatrzymanego w związku z wypadkiem drogowym. Nie powiedziano mu nic więcej.

• • •

Po południu przestał padać śnieg, ale wieczorem temperatura spadała. Kiedy Flores wyszedł z domu, przywitała go nie-naturalna cisza. Wszystko stało w miejscu, bez najmniejszego ruchu. Wydawało się, że czas także się zatrzymał. Psychiatrę przeszedł pochodzący gdzieś z jego wnętrza dreszcz, niemający nic wspólnego z temperaturą na dworze. Uruchomił starego citroena i przed rozpoczęciem jazdy odczekał chwilę, żeby silnik należycie się podgrzał. Potrzebował odgłosów jego pracy, żeby przerwać monotonię tego groźnego spokoju.

Asfalt pokrywała warstewka lodu, ale do jazdy z prędkością nieprzekraczającą dwudziestu kilometrów na godzinę zmusiła go przede wszystkim mgła. Jechał, trzymając kierownicę mocno obiema rękami, pochylony do przodu tak, że jego twarz znalazła się parę centymetrów od przedniej szyby, żeby lepiej widzieć drogę. Na szczęście znał trasę tak dobrze, że jego umysł był w stanie wyprzedzać oczy, podpowiadając mu, jak jechać.

Dotarłszy do rozwidlenia dróg, wybrał kierunek prowadzący w stronę centrum miasteczka i właśnie wtedy dostrzegł coś w mlecznym całunie. Podjechał bliżej i odniósł wrażenie, że wszystko uległo spowolnieniu, niczym we śnie. W głębi

białej zawiesziny ukazały się jasne, przerywane błyski. Wydawało się, że wychodzą mu naprzeciw, ale to on posuwał się w ich stronę. Z mgły wyłoniła się ludzka sylwetka. Wykonywała ramionami dziwne, szerokie ruchy. Zbliżywszy się, Flores uświadomił sobie, że to policjant, którego postawiono tu, żeby ostrzegał kierowców nadjeżdżających samochodów, aby zwiększyli ostrożność. Gdy psychiatra przejeżdżał obok niego, obaj wymienili przelotne pozdrowienie. Światła za plecami funkcjonariusza okazały się migaczami na dachu policyjnego auta, a przede wszystkim tylnymi lampami ciemnej limuzyny, która wypadła z drogi i utknęła w rowie.

Niedługo potem Flores dotarł do śródmieścia. Było całkowicie puste.

W gęstej mgłę żółtawe światła latarni wyglądały jak mi-raże. Przejechał przez zamieszkane centrum i w końcu dotarł do celu.

W małym szpitalu w Avechot przywitało go dziwne oży-wienie. Gdy tylko przekroczył próg, wyszli mu naprzeciw porucznik miejscowej policji i Rebecca Mayer, młoda proku-rator, która w ostatnim okresie zyskała spore uznanie. Wyglą-dała na zaniepokojoną. Podczas gdy psychiatra ściągał grubą kurtkę, podała mu tożsamość nieoczekiwanego gościa, który trafił tu tej nocy.

– Vogel – rzuciła krótko.

Usłyszawszy to nazwisko, Flores zrozumiał powód aż tak wielkiego zaniepokojenia. Nie wiedział jednak, jaką rolę ma odegrać w tej sprawie, ponieważ to, że tej nocy wszystko zmieni się na zawsze, wciąż pozostawało dla niego tajemnicą.

– Co dokładnie mam zrobić? – spytał.

– Lekarze z pogotowia ratunkowego mówią, że czuje się dobrze, ale reaguje dziwnie. Być może z powodu szoku powy-

padkowego.

– Tylko że pani nie jest tego pewna, prawda? – Flores najwyraźniej trafił w sedno, bo pani Mayer nie odpowiedziała.

– Popadł w katatonię?

– Nie, reaguje na bodźce, lecz okazuje nagłe zmiany nastroju.

– I nie pamięta nic z tego, co mu się przydarzyło – dodał Flores, kończąc to wypytywanie.

– Przypomina sobie wypadek. Ale nas interesuje to, co było wcześniej: koniecznie musimy się dowiedzieć, co wydarzyło się tego wieczoru.

– A zatem, pani zdaniem, on udaje – wyciągnął wniosek psychiatra.

– Obawiam się, że tak. I właśnie w tym punkcie potrzebujemy pańskiej interwencji, doktorze.

– Czego pani ode mnie oczekuje, pani prokurator?

– Nie ma wystarczających przesłanek, żeby postawić mu jakieś zarzuty, i on o tym wie, dlatego musi mi pan powiedzieć, czy on jest w stanie rozumieć swoje postępowanie i nim kierować.

– A gdyby był, to co pani zamierza z nim zrobić?

– Będę mogła sformułować oskarżenie i zarządzić oficjalne przesłuchanie, nie obawiając się, że później jakiś adwokat zakwestionuje je w sądzie, sięgając po pierwszy lepszy głupi pretekst.

– Ale... Powiedziała pani, że w wypadku nie było ofiar, prawda? Przepraszam, w takim razie o co miałyby go pani oskarżyć?

Prokurator Mayer przez chwilę milczała.

– Zrozumie to pan, gdy znajdzie się pan z nim twarzą w twarz.



Dziwnego gościa umieszczono w gabinecie psychiatry. Otworzywszy drzwi, Flores natychmiast dostrzegł mężczyznę siedzącego w jednym z dwóch foteli stojących przed zarzuconym papierami biurkiem. Ubrany w ciemny kaszmirowy płaszcz, przygarbiony, chyba nawet nie zauważył, że ktoś wszedł.

Flores powiesił kurtkę na wieszaku i zatarł ręce, ciągle jeszcze zgrabiące z zimna.

– Dobry wieczór – powiedział, kierując się w stronę grzejnika, żeby sprawdzić, czy jest włączony. W rzeczywistości był to jedynie pretekst, żeby znaleźć się twarzą w twarz z mężczyzną i upewnić się co do jego stanu, a przede wszystkim zrozumieć sens tego, co powiedziała Mayer.

Vogel miał pod płaszczem eleganckie ubranie. Granatowy garnitur, szaroniebieski jedwabny krawat z drobnymi kwiatowymi motywami, żółtą chusteczkę w kieszonce marynarki i białą koszulę, której mankiety zapięte były na owalne spinki z różowego złota. Tyko że to ubranie wydawało się zmięte, jakby nosił je od wielu tygodni.

Uniósł na chwilę oczy, nie odpowiadając na powitanie. Potem jego wzrok opadł znowu na dłonie złożone na udach.

Psychiatra zastanawiał się, co za dziwaczny żart losu sprawił, że znaleźli się naprzeciwko siebie.

– Od dawna pan tu jest? – spytał na początek.

– A pan?

Flores skwitował jego odpowiedź śmiechem, ale tamten zachował poważną minę.

– Mniej więcej od czterdziestu lat – odparł. Z biegiem czasu pokój wzbogacał się o różne przedmioty i meble, aż w

końcu zamienił się w istną rupieciarnię. Psychiatra zdawał sobie sprawę, że w oczach kogoś z zewnątrz to wewnątrz może się wydać zagracone.

– Widzi pan tę starą kanapę? Odziedziczyłem ją po moim poprzedniku, natomiast biurko wybrałem już sam. – Na jego blacie stały oprawione zdjęcia członków rodziny lekarza.

Vogel sięgnął po jedno z nich i przyjrzał mu się, trzymając je w obu dłoniach. Był na nim Flores otoczony przez swoje liczne potomstwo w letni dzień, w którym urządzili sobie grilla w ogrodzie.

– Piękna rodzina – zauważył z roztargnieniem.

– Trzech synów i jedenaścioro wnucząt. – Flores był bardzo przywiązany do tej fotografii.

Vogel odstawił zdjęcie na miejsce i zaczął się rozglądać. Na ścianach oprócz dyplomu, otrzymanych pochwał i rysunków od wnucząt znajdowały się trofea, z których psychiatra był wyjątkowo dumny.

Uprawiał wędkarstwo sportowe i w jego gabinecie było wiele dobrze wyeksponowanych egzemplarzy wypreparowanych ryb.

– Kiedy tylko mogę, rzucam wszystko i jadę nad jakieś jezioro albo górski strumień – wyjaśnił Flores. – Dzięki temu zawieram na nowo pokój z wszelkim stworzeniem. – W jednym z rogów gabinetu stała szafa z wędkami oraz skrzynka z haczykami, przynętami, linkami, żyłkami i innym wyposażeniem wędkarskim. Z biegiem czasu wewnątrz przestało wyglądać jak gabinet psychiatryczny. Zamieniło się w jego prywatną jaskinię, miejsce należące tylko do niego, toteż odczuwał przykrość na myśl o tym, że za kilka miesięcy przejdzie na emeryturę i będzie musiał usunąć to wszystko, zabierając stąd swoje rzeczy.

Do licznych historii, jakie mogłyby opowiedzieć te ściany, teraz doszła jeszcze jedna, dotycząca nieprzewidzianej wizyty w późny zimowy wieczór.

– Wciąż jeszcze nie jestem w stanie uwierzyć, że pan się tu znalazł – przyznał z lekkim zakłopotaniem. – Ja i moja żona tyle razy oglądaliśmy pana w telewizji. Jest pan bardzo znany.

Mężczyzna kiwnął tylko głową. Być może rzeczywiście znajdował się w szoku lub może był doskonałym aktorem.

– Jest pan pewien, że czuje się pan dobrze? – spytał Flores.

– Tak – odparł tamten ledwie słyszalnym szeptem.

Psychiatra odszedł od grzejnika i usiadł za biurkiem, w fotelu, który z biegiem lat dopasował się do jego kształtów.

– Miał pan szczęście, wie pan o tym? Dopiero co przejeżdżałem koło miejsca, w którym zdarzył się wypadek: wypadł pan z drogi po właściwej stronie. Jest tam całkiem głęboki rów, ale po drugiej stronie znajduje się prawdziwy jar.

– Mgła – odparł gość.

– Tak – zgodził się Flores. – Marznąca mgła, jakiej nie ogląda się często. Jazda tutaj zajęła mi dwadzieścia minut, podczas gdy zazwyczaj zajmuje połowę tego czasu. – Następnie oparł łokcie na poręczach fotela i odchylił na jego oparcie. – Jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy: nazywam się Auguste Flores i jestem lekarzem. Proszę mi powiedzieć, jak mam się do pana zwracać? Jako do agenta specjalnego czy też po nazwisku?

Mężczyzna chwilę się zastanawiał.

– Niech pan sam wybierze.

– Myślę, że policjant nigdy nie traci swoich dystynkcji, również wtedy, gdy przestaje wykonywać swój zawód. Dlatego pozostaje pan dla mnie agentem specjalnym Voglem.

– Jeśli to panu odpowiada...

W umyśle Floresa kłębiły się dziesiątki pytań, wiedział jednak, że na początek musi wybrać te najbardziej właściwe.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się zobaczyć pana jeszcze w tych stronach, sądziłem, że po tym, co się wydarzyło, już się pan tu nie pojawi. Dlaczego pan tu wrócił?

Agent specjalny Vogel powoli przeciągnął dłońmi po spodniach, tak jakby chciał usunąć z nich nieistniejący pył.

– Nie wiem...

Nie dodał nic więcej i Flores kiwnął tylko głową.

– Rozumiem. Przyjechał pan sam?

– Tak – odparł Vogel, ale po jego minie można było się domyślić, że niezbyt dobrze pojął sens pytania. – Jestem tu sam – potwierdził.

– Czy pańska obecność ma może coś wspólnego ze sprawą zaginionej dziewczyny? – zaryzykował Flores. – Bo jeśli dobrze pamiętam, nie ma pan już żadnego prawa zajmować się tym śledztwem.

Można było odnieść wrażenie, że jego słowa potrąciły jakąś strunę w umyśle mężczyzny, ponieważ zareagował w sposób, który Floresowi wydał się odruchem dumy. W jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie.

– Można wiedzieć, dlaczego mnie tu przetrzymujecie? Czego policja chce ode mnie? Dlaczego nie mogę zwyczajnie stąd wyjść?

Psychiatra starał się przywołać całą swoją cierpliwość.

– Agencie specjalny Vogel, miał pan dziś wieczorem wypadek.

– Wiem o tym – odparł gniewnie tamten.

– I podróżował pan sam, zgadza się?

– Właśnie to panu powiedziałem.

Flores otworzył szufladę biurka, wyjął małe lustro i postawił je przed Voglem, który zdawał się tego nie zauważać.

– I nic się panu nie stało. Wyszedł pan z tego bez szwanku.

– Czuję się dobrze, ile razy będzie mnie pan o to pytał?

Psychiatra pochylił się w jego stronę.

– W takim razie proszę mi wyjaśnić jedną rzecz... Skoro nie ma pan żadnych obrażeń, w takim razie do kogo należy krew, którą ma pan na swoim ubraniu?

Vogel zamilkł nagle, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Zagniewanie wyparowało i jego wzrok spoczął na lustrze, które Flores przed nim trzymał.

Dopiero teraz je zauważył.

Małe czerwone plamki na mankietach białej koszuli. Parę większych na brzuchu. Kilka ciemniejszych, które zlewały się z kolorem garnituru i płaszcza, ale można było dostrzec ich obwódki. Wyglądało to tak, jakby agent specjalny zobaczył je po raz pierwszy. Ale Flores domyślił się natychmiast, że Vogel musiał o nich wiedzieć, ponieważ ani nie zdziwił się zbytnio ich widokiem, ani nie oświadczył od razu, że nie wie, skąd się wzięły.

W jego oczach pojawiło się nowe światło, a stan umysłu Vogela zaczął się rozwiewać tak, jak to się dzieje w przypadku mgły. Tymczasem gęsta mleczna zawiesina wisząca nad światłem za oknem gabinetu pozostawała nietknięta.

Dopiero co rozpoczęła się noc, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze. Vogel spojrział Floresowi prosto w oczy, nagle w pełni przytomny.

– Ma pan słusność – powiedział. – Myślę, że powinienem to wyjaśnić.

25 grudnia

Dwa dni po zaginięciu

Jodłowe zagajniki schodziły z górskich zboczy niczym regularne wojsko szykujące się do ataku na dolinę. Była ona długa i wąska niczym stara blizna, a jej środkiem na przemian spokojnie i wartko płynęła rzeka o intensywnie zielonej barwie.

Avechot położone było pośrodku tego krajobrazu.

Alpejskie miasteczko odległe kilka kilometrów od granicy. Domy o spadzistych dachach, kościół z dzwonnica, ratusz, posterunek policji, mały szpital. Zespół szkół, kilka barów i stadion z lodowiskiem.

Lasy, dolina, rzeka, miasteczko. Oraz przerażające instalacje kopalni, przypominająca futurystyczną szramę na przeszłości i naturze tych okolic.

Niedaleko centrum, przy drodze krajowej, znajdował się bar serwujący gorące posiłki.

Z jego okna rozciągał się widok na drogę i na stację benzynową. Przejżdżającym tędy kierowcom rzucał się w oczy neon życzący Wesołych Świąt, jednak z wnętrza lokalu pa-trzyło się na litery od tyłu, przez co tworzyły ciąg niezrozu-

miałych hieroglifów.

W środku było ze trzydzieści stołów z niebieską okleiną, niektóre między przegródkami umocowanymi do ściany. Wszystkie były nakryte, ale zajęty był tylko jeden. Stojący na samym środku.

Agent specjalny Vogel jadł samotnie śniadanie złożone z jajecznicy na bekonie. Ubrany był w ciemnoszary garnitur, zgniętą kamizelkę i granatowy krawat; kaszmirowego płaszcza nie zdjął nawet na czas posiłku. Siedział wyprostowany ze wzrokiem wbitym w czarny notes, do którego wpisywał jakieś uwagi eleganckim, srebrnym piórem wiecznym, które co jakiś czas odkładał na stół, żeby unieść do ust widelec z jajecznicą. Wykonywał te gesty na zmianę w dokładnie odmierzonych odstępach czasu, skrupulatnie przestrzegając czegoś w rodzaju wewnętrznego rytmu.

Zza lady wyszedł właściciel lokalu, starszy już człowiek, przepasany zatłuszczonym fartuchem, pod którym miał flanelową koszulę w czerwono-czarną kratę, z podwiniętymi do łokci rękawami. Niósł dzbanek świeżo zaparzonej kawy.

– Niech pan sobie wyobrazi, wcale nie zamierzałem dziś otwierać. Pomyślałem sobie: kto tu przyjdzie z samego rana w Boże Narodzenie? Jeszcze kilka lat temu było tu pełno turystów, całe rodziny z dziećmi... Ale od czasu, jak znaleźli to świeżące gówno, wszystko się zmieniło. – Mężczyzna wypowiedział to zdanie tak, jakby oplakiwał szczęśliwą i odległą epokę, która już nie wróci.

Jeszcze nie tak dawno życie w Avechot toczyło się pogodnie i spokojnie. Ludzie żyli tu z turystyki i drobnego rzemiosła. Ale pewnego dnia ktoś spoza miasteczka stwierdził, że pod tymi górami mogą się kryć spore złoża fluorytu.

Rzeczywiście, pomyślał Vogel, starsuszek ma rację: od tam-

tej chwili wszystko się zmieniło. Zjawiała się międzynarodowa spółka i kupiła koncesję na tereny znajdujące się nad złożem, płacąc szczerze właścicielom małych działek. Wielu z nich z dnia na dzień stało się bogaczami. A ci, którzy nie mieli szczęścia być posiadaczami którejs z tych działek, zbiednieli nagle, ponieważ zniknęli turyści.

– Być może powinienem się zdecydować na sprzedaż tego biznesu i przejście na emeryturę – ciągnął właściciel lokalu. Potem, kręcąc z poirytowaniem głową, napełnił kawą filiżankę Vogla, chociaż ten go o to nie prosił. – Kiedy zobaczyłem, jak pan tu wchodzi, pomyślałem, że to jeszcze jeden z handlarzy, którzy co jakiś czas próbują mi coś opchnąć po promocyjnej cenie. Potem się domyśliłem... Pan w sprawie tej dziewczyny, prawda? – Niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazał umocowaną do ściany przy wejściu ulotkę.

Wydrukowano na niej zdjęcie rudej, piegowatej roześmianej nastolatki, imię: *Anna Lou*, pytanie: *Widziałeś mnie?* oraz numer telefonu i kilka linijek tekstu.

Vogel zorientował się, że staruszek zagląda mu przez ramię, starając się przeczytać jego notatki, więc zamknął zeszyt. Potem odłożył widelec na talerz.

– Zna ją pan? – spytał.

– Znam jej rodzinę. Porządni ludzie. – Mężczyzna odsunął jedno z krzeseł stojących przy stole i usiadł naprzeciwko agenta. – Co, według pana, mogło się jej przydarzyć?

Vogel złożył dłonie pod brodą. Ile razy zadawano mu to pytanie? Zawsze ta sama historia. Wydawali się szczerze zaniepokojeni lub zmuszali się, żeby tak wyglądać, ale w końcu okazywało się, że są tylko ciekawi. Chorobliwie, egoistycznie, nielitościwie ciekawi.

– Dwadzieścia cztery – odparł. Restaurator zdawał się nie

pojmować sensu tych słów, ale Vogel nie dał mu czasu na prośbę o wyjaśnienie. – Dwadzieścia cztery godziny to czas, jaki młodzi ludzie, którzy uciekli z domu, wytrzymują z wyłączoną komórką. Potem czują się zmuszeni zadzwonić do jakiegoś kolegi albo sprawdzić, czy mówi się o nich w internecie, i w ten sposób udaje się ich zlokalizować. W każdym razie większość wraca po czterdziestu ośmiu godzinach... Dlatego, jeśli nie spotka ich jakieś nieszczęście i nie zdarzy się wypadek, można powiedzieć, że jeszcze po dwóch dniach od zaginięcia istnieje realna możliwość, że koniec końców sprawy ułożą się jak najlepiej.

Przez chwilę właściciel lokalu wydawał się zbity z tropu.

– A co się dzieje potem? – zapytał w końcu.

– Potem przeważnie wzywają mnie.

Agent specjalny wstał, wsunął rękę do kieszeni i rzucił na stół banknot dwudziestoeurowy, żeby zapłacić za śniadanie. Potem ruszył do wyjścia, ale zanim przekroczył próg, odwrócił się jeszcze do właściciela baru.

– Niech mnie pan posłucha: proszę nie sprzedawać tego lokalu. Niedługo będzie tu znowu mnóstwo ludzi.

• • •

Na zewnątrz panował chłód, ale niebo było czyste i wszystko pławiło się w jasnym świetle zimowego słońca. Co jakiś czas drogą przejeżdżał tir i podmuchy powietrza targały połami płaszcza Vogla. Agent specjalny stał bez ruchu na dużym placu przed barem obok stacji benzynowej i spoglądał w górę, trzymając obie ręce w kieszeniach płaszcza.

Za jego plecami pojawił się młody mężczyzna około trzydziestki. On także był w garniturze, krawacie i ciemnym płaszczu, ale nie kaszmirowym. Miał jasne włosy uczesane z

przedziałkiem z boku i jasnoniebieskie oczy. Twarz porządnego chłopaka.

– Witam – odezwał się, ale jego przywitanie pozostało bez odpowiedzi. – Nazywam się Borghi i jestem policjantem – dodał mimo to. – Powiedziano mi, że bym przyjechał tu po pana.

Vogel nadal patrzył w niebo, nie zwracając na niego uwagi.

– Odprawa rozpocznie się za pół godziny – oznajmił Borghi. – Są wszyscy, jak pan sobie życzył. – Wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć, co Vogel robi, i spostrzegł, że agent specjalny obserwuje coś na daszku nad dystrybutorem.

Kamerę monitoringu wycelowaną w kierunku drogi.

W końcu Vogel odwrócił się do niego.

– To jedyna droga prowadząca do doliny, prawda?

Borghi nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Tak. Nie ma innego sposobu, żeby się tu dostać albo stąd wydostać. Ta droga ciągnie się przez całą dolinę.

– Dobrze – powiedział Vogel. – W takim razie niech mnie pan zawiezie na jej drugi kraniec.

I szybkim krokiem ruszył w kierunku nieoznakowanej, ciemnej limuzyny, którą przyjechał po niego młody funkcjonariusz. Borghi wahał się przez chwilę, a potem poszedł za nim.

Niebawem zatrzymali się obok przeruconego przez rzekę mostu, przez który prowadziła droga w głąb doliny. Młody policjant czekał w pobliżu zaparkowanego na poboczu samochodu, natomiast Vogel kilka metrów dalej odgrywał scenę sprzed kilku minut, tym razem przypatrując się kamerze zamontowanej na stojącym przy drodze słupie w celu kontrolowania ruchu. Kierowcy przejeżdżających obok samochodów

trąbili donośnie, ale Vogel nie przejmował się tym i nadal niewzruszenie robił swoje. Czymkolwiek to było, Borghi nie tylko nie rozumiał jego zachowania, ale wręcz wydawało mu się niedorzeczne.

Gdy agent specjalny uznał, że wystarczy, wrócił do pojazdu.

– Jedziemy odwiedzić rodziców tej dziewczyny – powiedział i wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź Borghiego, który spojrzał na zegarek i spokojnie zajął znowu miejsce za kierownicą.

• • •

– Anna Lou nigdy nie sprawiała nam kłopotów – zapewniła stanowczo Maria Kastner. Matka dziewczyny była drobną kobietą, z której emanowała jednak wyjątkowa siła. Siedziała na kanapie obok męża, mężczyzny potężnej postury, ale o dobrotliwym wyglądzie. Oboje byli w szlafrokach narzuconych na piżamy i trzymali się za ręce.

Znajdowali się w salonie ich dwupiętrowego domu; w powietrzu unosił się słodkawy zapach gotowanego jedzenia i odświeżacza powietrza, którego Vogel nie znosił. Siedział teraz na wprost nich w fotelu, a Borghi nieco z boku na krześle. Między nimi a parą małżonków stał stolik z filiżankami kawy, która szybko stygła, bo nikt nie zdradzał ochoty, żeby się jej napić.

Pod ubraną świątecznie choinką siedmioletni bliźniacy bawili się dopiero co rozpakowanymi prezentami.

Jedna paczuska z ładną czerwoną kokardką pozostała nietknięta.

Kobieta uchwyciła na chwilę spojrzenie Vogla.

– Chcieliśmy, żeby dzieci mimo wszystko mogły święto-

wać narodziny Jezusa, również po to, żeby oderwać ich uwagę od tej przykrej sytuacji – powiedziała usprawiedliwiająco.

„Sytuacja” polegała na tym, że ich starsza, szesnastoletnia, córka zaginęła prawie dwa dni temu. Wyszła z domu w zimowe popołudnie, około siedemnastej, na spotkanie w kościele odległym o kilkaset metrów.

Nigdy tam nie dotarła.

Anna Lou miała do pokonania krótką drogę w dzielnicy jednakowych domów jednorodzinnych z ogródkami, gdzie wszyscy znali się od zawsze.

Ale nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

Alarm podniesiono około dziewiętnastej, gdy matka stwierdziła, że córka nie wróciła do domu i ma wyłączoną komórkę. Minęły dwie długie godziny, w czasie których mogło się jej przydarzyć wszystko. Poszukiwania trwały cały wieczór, ale rozsądek podpowiadał, żeby je przerwać i podjąć akcję na nowo, gdy się rozwidni. Ponadto miejscowa policja nie miała środków do prowadzenia śledztwa w całej okolicy.

Na razie nie stawiano żadnych hipotez dotyczących powodów zaginięcia.

Vogel wrócił do milczącej obserwacji rodziców, których oczy już były podkrążone z niewyspania, co w najbliższych tygodniach miało przydać im lat, ale w tym momencie dopiero zaczynało odciskać na nich swój ślad.

– Nasza córka już od wczesnego dzieciństwa zachowywała się zawsze bardzo odpowiedzialnie – ciągnęła kobieta. – Nie wiem, jak to wyrazić... ale nigdy nie musieliśmy się o nią martwić, po prostu wyrosła sama. Pomaga w domu, zajmuje się braćmi. Nauczyciele w szkole są z niej zadowoleni. Od niedawna zaczęła próbować swych sił jako katechетка w naszym bractwie religijnym.